

Profesor Pigmej

5 stycznia 2010

Polska nauka jest na poziomie chilijskiej. Za to znacznie gorzej wypada niż chińska. Co jasno wynika z najnowszego światowego rankingu wyższych uczelni.

ARWU, czyli Academic Ranking of World Universities, przygotowywany jest od roku 2003. To najbardziej prestiżowe takie zestawienie na świecie. Mimo ustawicznego reformowania naszego szkolnictwa wyższego, niezmiennie klasyfikowane są w nim tylko dwa polskie uniwersytety: Jagielloński i Warszawski (raz w ogonie załapał się Wrocławski, głównie dzięki niemieckim noblistom, o czym później). I choć wśród Polaków uchodzą za renomowane i powszechnie znane za granicą, regularnie zajmują miejsca w przedostatniej czwartej setce. (Pozostałe nasze wyższe uczelnie tak dalece odbiegają od światowych standardów, że w ogóle nie są klasyfikowane). Bydłą się tam w tak doborowym towarzystwie jak Uniwersytet Chilijski czy szwedzki Uniwersytet Nauk Rolniczych.

Co więcej, miejsca, jakie zajmują, są zawyżone, dostają bowiem bonusy za absolwentów, którzy dostali Nobla. Np. w tym roku UW od organizatorów rankingu otrzymał z tego tytułu notę 18,9 – dzięki Leonidowi Hurwiczowi, który w 2007 r. został nagrodzony Noblem z ekonomii, a tak się szczęśliwie złożyło, że 70 lat wcześniej ukończył warszawską uczelnię. Wkrótce, chcąc uniknąć Holocaustu, wyjechał do Londynu, a stamtąd do Szwajcarii i USA. Podobnie było z Józefem Rotblatem, laureatem Nagrody Nobla z 1995 r., który przed wojną na UW zrobił doktorat i potem prysnął do Liverpoolu. Nawet po kilogramie marychy trudno uznać, że przyznane im nagrody są świadectwem stanu i jakości dydaktyki dzisiejszego uniwersytetu. O tych świadczą za to inne parametry brane pod uwagę w rankingu.

Jeden z nich to najczęściej cytowani w publikacjach naukowych badacze. Tegoroczny wynik: UW – 0; UJ – 7,3 (maksimum punktów

we wszystkich kryteriach wynosi 100). Obie uczelnie w poprzednich latach uzyskiwały równie beznadziejne rezultaty. W rankingu uwzględniana jest również liczba publikacji w „Nature” i „Science” – najbardziej prestiżowych periodykach naukowych. UW – 6,6; UJ – 4,8. Stan klęski trwa od lat i trendu wznoszącego nie widać. Punktuje się również za artykuły naukowe w wykazach „Science Citation Indem Expanded” i „Social Science Citation Index”. Tu Jagielloński i Warszawski uzyskały zbliżone efekty (odpowiednio: 31,6 i 33,1).

Co to wszystko znaczy? Ano tyle, że nasi nabzdyczeni naukowcy w świecie nie odgrywają żadnej roli, a wpływ ich publikacji na ogólny poziom wiedzy jest bliski zeru.

Ciekawe, co nasi uczeni porabiają – a ich armia liczy około 100 tysięcy – skoro nie zajmują się płodzeniem liczących się publikacji naukowych. Otóż niekoniecznie próżnują. Panuje za to wśród nich – jak to trafnie ktoś określił – etos stosu publikacji w gównianych periodykach. To nie tylko efekt zaściankowości. Np. żeby przymierzyć się do habilitacji z kultury fizycznej, trzeba zebrać ok. 100 punktów za artykuły. Ponieważ w Najjaśniejszej istnieje tylko jedno punktowane czasopismo i za każdy tekst można dostać 1,5 punktu, etos stosu ma praktyczne umocowanie.

Ranking ARWU spotkał się w Polsce z krytyką. Zarzucano mu, że jest subiektywny, promuje twórczość naukową wyrażoną tylko po angielsku, niesprawiedliwie ważne są kryteria itd. Chińczycy nie narzekali na subiektywność tego, co z natury rzeczy jest subiektywne (choćby dobór kryteriów), tylko wywalili gruby szmal na rozwój nauki – 1,2 proc. PKB. Nie ma co kryć – żółtki pobiły nas sromotnie.

Chińskie uczelnie, które jeszcze kilka lat temu snuły się w piątej ostatniej setce ARWU albo wcale nie były oceniane, dziś plasują się w przedziale o setkę wyższym niż dwa polskie rodzyнки. Przy czym nie jest to zasługa historycznych noblistów, ale badań naukowych i związanych z nimi publikacji.

Np. Uniwersytet Zhejiang, jeśli chodzi o liczbę artykułów pomieszczonych w indeksach naukowych, osiągnął taki sam rezultat jak UJ i UW razem wzięte. Tymczasem minister Kudrycka, zamiast rewolucyjnie odciąć chorą nogę, chce ją zreformować. Nowe prawo ma obowiązywać od roku akademickiego 2010/2011 i – jak wynika z zapowiedzi – zapewni uczelniom większą autonomię, a nepotyzm w szkołach wyższych przejdzie do historii.

Rzeczywiście – z raportu Collegium Civitas „Autodiagnoza polskiego środowiska naukowego” wynika, że naszymi uczelniami rządzi zamiast merytokracji, gerontokracja, marazm i kumoterstwo, grono profesorskie niesprawiedliwie obdziela projekty badawcze pieniędzmi z budżetu i trwoni je na utrzymanie nieruchomości, rozbudowanej administracji, niewykorzystywanej aparatury, laboratoriów-atrap, zaś wegetująca naukowo stara kadra blokuje kariery młodych zdolnych, rozdziela granty, staże zagraniczne, sprzęt komputerowy według zasad patronażu, a nie potrzeb. Ale najczęściej respondenci narzekają na finanse: Brak dostatecznego finansowania działalności naukowej – np. publikacje, wyjazdy służbowe, udział w konferencjach, zakupy literatury fachowej itp. Na naukowca przypada 10 do 40 razy mniej pieniędzy niż w krajach cywilizowanych. To powoduje, że nie jesteśmy w stanie kupić aparatury, aby nadążyć za rozwojem nauki światowej. Nasze badania stają się anachroniczne.

Nakłady na polską naukę od lat utrzymują się mniej więcej na tym samym poziomie i wynoszą ok. 0,7 proc. PKB. Jak wynika z danych uzyskanych w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, w 2009 r. na szkolnictwo wyższe przeznaczono 11,5 mld zł. Prawda jest nieprzyjemna – Polska, obok Grecji, Malty, Słowacji, Bułgarii, Rumunii i Cypru, znajduje się w grupie państw europejskich naj słabiej finansujących badania naukowe.

Reformy Kudryckiej gołej dupy nie zakryją. Alternatywa jawi się następująca: albo państwo będzie łożyć więcej, albo niebawem znajdziemy się w ogonie świata.

Autor: Maciej Mikołajczyk

Zdjęcie: Flickr

Źródło: [„Nie” nr 47/2009](#)